



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

### OBYWATELSKA PRACA FRANCUZEK.

Emancypacyjne dążności kobiety opierają się zawsze na tej zasadzie moralnej, że czująca się duchowo równą mężczyźnie, pragnie mieć udział w społecznej i narodowej pracy, u której steru on stoi, i której najważniejsze gałęzie tak zdaje się zagarniać dla siebie, że ona już tu miejsca znaleźć nie może. Wśród cywilizacyjnego rozwoju ludzkości musi rozszerzać się coraz zakres prac i zarazem obowiązków każdej istoty ludzkiej; kto przecież umie dobrze patrzeć w życie, dostrzeże, że kobieta, która chce służyć sprawie ogólnego dobra, zawsze drogę do tego znajdzie, zasługę i uznanie ludzkie sobie zaskarbi—i jeżeli obok tego nie naruszy nic, co się z pojęciem dostojnej kobiecości łączy, nikt jej też praw do działalności takiej nie zaprzeczy, jak to poświadcza nowa, przez kobietę francuską zawiazana w Paryżu: *Union française*.

Wśród smutnego dziś rozbicia pojęć moralnych w tem mieście *Związek Francuzki* podjął bardzo ważne i patriotyczne zadanie. Ratowanie przyszłości polega zawsze i wszędzie na dobrem, na ucziwem wychowaniu rosnącego pokolenia; taki też jest cel stowarzyszenia, które, zawiazane w Lipcu zeszłego roku przez dwie szlachetne panie: de Barreau i Kergomard, tak się zaznaczyło w ciągu próbnej niejako działalności swojej, że policzone obecnie do instytucji pożytku publicznego i posiadające znaczną liczbę członków mężczyzn, ukonstytuowało się w ostatnich dniach Lipca roku bieżącego w zgromadzenie stałe i na pierwszej sessyi tegorocznej, odbytej w sali paryzkiego Muzeum Pedagogicznego, Juliusz Simon, jako prezydujący, zagał zebranie,

przedstawiając słuchaczom obraz dotychczasowych czynności stowarzyszenia, którego prawności i prawomocności wobec ustaw francuzkich i ogólnie-społecznych dowodzili w kolei: Teofil Roussel, senator, i deputowany Fryderyk Passy.

Rodzice nie mają nad dzieckiem praw właściciela nad własnością swoją, bo są wyższe nad to: święte i nienaruszalne prawa moralności, która rządzi światem—są żywotne interesa społeczeństwa, narodu. *Związek Francuzki* powstał też w imię tych praw, stawiając sobie, jako zadanie „protekcją i opiekę nad dzieckiem krzywdzonym, lub narażonym na niebezpieczeństwo moralne.“ Dzieci bywają zaniedbywane dwojako: fizycznie i moralnie. Stan pierwszy wynika najczęściej z braku środków, jakich wymaga wychowanie, prowadzone dostatnio; na drugi składa się ciemnota, brak delikatniejszego uczucia w człowieku prostym, intelektualnie niewyrobionym, nieposiadającym potrzebnych tu pojęć edukacyjnych, w człowieku, który przy podnieceniu gniewnego uniesienia wpada niejednokrotnie w dzikość i dopuszcza się okrucieństwa. Lecz gorzej nadto działa przewrotność, nikczemność ludzi mało uczciwych, którzy przez sam sposób życia psują już istoty młode złym przykładem z siebie danym. Przytem ubóstwo zmusza nieraz rodziców w mieście się gdzie mogą, a przeludnione zaułki miast wielkich, wspólne mieszkania i sąsiedztwo rozmaitych ludzi, źle oddziałują na młodą wyobraźnię, na kształtując się dopiero pojęcia złego i dobrego, przyczem szczepią się zarody występku, zapuszcza się w dusze młode jad zepsucia, wcześniej, niż jakkolwiek odporność moralna wyrobi się tam zdoła.

W pewnej kategorii wymienionych wypadków starczy, obok zapomogi pieniężnej, objaśnienie rodziców, jak zgubnym wpływem działają na młodą, miękką naturę dziecka przykłady mało uczciwego, zezwierzęconego życia. Trzeba wtedy rozświecać, choć do pewnego stopnia, umysł

rodziców, matki zwłaszcza, trzeba tam wprowadzić pewną wiedzę wychowawczą i zarazem pomódz do stosowania jej w życiu, przez pewnego rodzaju współdziałanie, wiodące do zamierzonego celu. Człowiek bardzo spracowany fizycznie staje się ociężałym, obojętnym na wszystko—na najdroższe mu nawet przedmioty ukochań jego serdecznych. Potrzeba wypoczynku jest w nim tak silną, jak instynkt zachowawczy, i należy brać w rachunek stan taki rodziców ubogich—należy też wyręczyć ich niejednokrotnie w zachodzie wychowawczym. Niedosć jest nieraz wskazać środki działania; niedosć jest nawet dać pieniądze, gdzie ich braknie. Trzeba jeszcze dodać do tego zajęcie osobiste, ułatwiające rodzicom wypełnienie ich obowiązków, przyczem należy jeszcze pilnować się bardzo uważnie pod względem jednym.

Oszczędzać troskliwie miłość własną ludzi tych biednych, nie urazić w nich uczucia godności osobistej i zarazem nie nudzić zbyt długimi kazaniami: to ważny warunek powodzenia. Pojęcie złego i dobrego tkwi w naturze człowieka, zwłaszcza wśród narodów starszej cywilizacji, jakkolwiek nie ujawnia się to, nie pokazuje nazewnątrz tak, jak w klassach wykształconych, rozumujących. Trzeba też przemawiać krótko a treściwie, trzeba przez uderzenie w odpowiednią strunę obudzić myśl drzemającą, przyłączyć do tego środki pomocnicze: a skutek pożądany otrzyma się bardzo często niemal zawsze. *Związek Francuzki* pragnie też działać przez komitety lokalne, któreby mogły, nietylko czuwać bliżej, ale przychodzić i z pomocą czynną rodzicom, potrzebującym tego w sposób rozmaity.

Zdarzały się wypadki, że matka ożywiona najlepszą chęcią nie wykonała wskazówek i poleceń towarzystwa, nie przez niedbałość, ale przez trudne dla niej zbliżenie się do ludzi sfery wyższej. Nie zaprowadziła dziecka do szkoły, gdzie już przyjętem zostało, nie wiedząc w jaki spo-



sób uczynić jej to należy? Posadzona o apatyę, o brak woli dobrej, była przecież tylko niesmiałą—niesmiałą i dumną...

Uczucie to nie jest wyjątkowym. Członkowie stowarzyszenia spotykali się z niem bardzo często i doświadczenie pokazało, że tkwi ono tam właśnie, gdzie grunt jest najlepszym.

Gorzej bywa, gdy ta дума łączy się z charakterem twardym i surowym, gdy się łączy z obojętnością moralną. Przecież, nietylko to, ale nawet dowiedziona już niemoralność rodziców nie jest jeszcze wobec prawa rzeczą dostateczną do odebrania im dziecka; mogą oni nie dozwolić osobom trzecim mieszać się do ich stosunków rodzinnych—mogą w każdej chwili odebrać towarzystwu dziecko już mu powierzone. W takim razie można tylko działać zniewalająco—rozbudzać uczucie miłości rodzicielskiej, które rzadko kiedy wygasa zupełnie w sercu ludzkim, zwłaszcza w sercu matki. Gdy przecież zajdzie wypadek taki, nie należy się cofać przed jedynym już możliwym środkiem. Trzeba dać znać władzy o istnieniu nieszczęśliwego dziecka, które, albo ulega okrutnemu znęcaniu się starszych, albo jest niecnie psutem i za cenę otrzymanego życia ma zgotowaną życiu temu torturę moralną lub fizyczną.

Związek Francuzki powziął też postanowienie, aby wszyscy członkowie stowarzyszenia dążyli wszelkimi możliwymi środkami do zaprowadzenia potrzebnych zmian w prawodawstwie swego kraju, działając na opinię publiczną i podnosząc głos w parlamencie, w literaturze. Obecnie zadaniem Towarzystwa jest to, aby każdy z jego członków wyszukiwał dzieci źle traktowane, lub wystawione na niebezpieczeństwo moralne, a to w celu przyniesienia pomocy i zmienienia warunków nieodpowiednich dobremu, moralnie pojętemu wychowaniu.

Za dzieci uważa Towarzystwo, tak chłopców, jak dziewczęta, do skończonych lat szesnastu.

Dzieci źle traktowanymi, *maltraités*, są w oczach Towarzystwa: dzieci głodzone, bite, ulegające samowoli rodziców okrutnych w wymierzaniu kar bolesnych; dzieci, któremi rodzice nie zajmują się dostatecznie, które nie doznają od nich starań i opieki należytej; dzieci materyalnie przez rodziców opuszczone, żebrzące, włóczące się po drogach i ulicach, zmuszone do utrzymywania się staraniem i przemysłem własnym.

Dzieci narażone na niebezpieczeństwo moralne, *en danger moral*, są:

Dzieci rodziców wiodących życie nieuczciwe i jawnie gorszące; dzieci pijaków, żebraków i włóczęgów; dzieci rodziców, którzy byli karani przez prawo, jako zbrodniarze, złodzieje, ludzie złych obyczajów i szerzący zepsucie.

Na te dzieci powinno służyć miłosierdzie publiczne, powinna się rozciągać na nie opieka towarzystwa. Każdy z członków zobowiązuje się też wspierać i ratować dziecko takie, któreby spotkał, lub o którym powziąłby wiadomość. Pierwszym jego obowiązkiem jest wtedy zapisać imię, nazwisko i miejsce przebywania dziecka, które (jeżeli może), powinien zobaczyć zaraz tego samego dnia i, zbadawszy należycie położenie, dać o niem znać lokalnemu lub centralnemu komitetowi. Jeżeliby okoliczności nie pozwoliły mu na te osobiste działania wstępne, powinien dać znać komitetowi o wiadomości otrzymanej, załączając, oile można, adres dziecka. W każdym razie komitet działać będzie na własną rękę, a jeżeliby się sprawdziło to, co doniesionem mu zostało, wydeleguje jednego z członków swoich, umocowanego do traktowania z osobami mającymi władzę nad dzieckiem. Jeżeli przystaną na to zgodnie, dziecko zostanie natychmiast przyjętem przez stowarzyszenie i będzie bezzwłocznie umieszczone w miejscu nauki lub zajęcia odpowiedniego.

W razie przeciwnym, gdyby dziecka dobrowolnie oddać nie chciano, lub gdyby nie podpadało pod żadną z wyżej wymienionych kategorii, a jednak było dzieckiem nieszczęśliwym lub moralnie narażonym na niebezpieczeństwo, komitet spisze akt, obejmujący badania dokonane, następnie sporządzi jego kopią i prześle ją merowemu gminu, lub okręgowi, w którym zamieszkują rodzi-

ce czy opiekunowie małoletniego. Druga kopia aktu doręczoną zostanie prefektowi lub podprefektowi miejscowemu, trzecia prokuratorowi, gdyby wypadek podchodził pod działanie urzędu karnego.

Na czele Towarzystwa stoi rada administracyjna, składająca się obecnie z 10-ciu pań i 22 panów. Pani są: de Barreau de Muratel, Wojciechowa Dumont, Furtado-Heine, Kergomard, Koechlin-Schwartz, Lieutier, Henrykowa Monad, Juliuszowa Simon, Marya Sabran, Julia Tousseint. Komitet centralny, na którego czele stoi Juliusz Simon, jako prezydent, składa się z dwóch vice-prezydentek: pań de Barreau i Kergomard, oraz z dwóch vice-prezydentów: senatora Rousset i deputowanego Passy. Skarbnikiem stowarzyszenia jest bankier Goudchaux, którzy przyjmuje zapisy do towarzystwa (102, rue Richelieu). Roczna składka członków wynosi 12 franków. Nauczyciele i nauczycielki płacą tylko 5 franków.

Przy tak niewielkim wydatku pieniężnym, przy tak niewielkim trudzie osobistym członków zwyczajnych, tyle dobrego do spełnienia! Ratować biedne duszyczki młode, bronić dziecko nieszczęśliwe przed cierpieniem: czyż to nie naturalny popęd kobiety, nie wrodzona skłonność jej uczucia? Nasze kolonie dzieci moralnie zaniedbanych w Studzieńcu—to zupełnie inna instytucja—institucja już karna dla przestępców małoletnich, chłopców; gdy stowarzyszenie Związku Francuzkiego, to opieka nad dzieckiem opuszczonym dziewczęciem, czy chłopcem, obrona dziecka, które cierpi, a razem zabezpieczenie jego przyszłości przed zepsuciem, przed upadkiem. Potrzeba jest społeczeństwu naszemu instytucji takiej, która, podobnie jak we Francji, powinna wyjść z inicjatywy kobiety, być dziełem kobiecego uczucia. Samotne, bezdzietne znalazłyby tu ujście dla pokutującej im w piersiach tęsknoty i pustki serca, ogrzałyby sobie to serce miłością dla dziecka urodzonego na tej ziemi, która jest ich ojczyzną, i względem której, mają obowiązki do spełnienia, dług do wypłaty.

Odbierały one w dzieciństwie te tkliwe starania, których ogół nazywa się wychowaniem. Czowano nad ich rozwojem, kierowano pierwsze ich kroki, wszczepiano im w dusze uczucia, rozświecano umysł, i one, choć pośrednio oddać, to powinny dziecku ziemi rodzinnej, które ma się stać z czasem jej obywatelem—działać źle lub dobrze, podnosić jej dobrostan, szczęście, chwałę, lub przyczyniać się do jej poniżenia i niedoli. Jak Chrystus powiedział: „Co dacie jednemu z tych maluczkich, mnie dacie!“ tak mówi ojczyzna:—Każde dziecko—to przyszły obywatel, to jednostka w narodzie! Podnieść je z niedoli, rozjaśnić myśl jego dobroczynnym promieniem światła, zatlić w sercu iskrę uczuć poczciwych: to pracować dla dobra ogółu swego, i towarzystwo mające przed sobą cel i założenie Związku Francuzkiego, mogłoby wypisać na statucie swoim słowa poety:

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,  
Ku ogólnemu dobru niechaj dopomoże.

M. Ilnicka.

## ZE SPUSCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Do liczby tych książek, o których mówiono jeszcze za życia poety, których plany sam on układał i których tylko wykonania nie zdążył do końca doprowadzić, należą też ostatnio wydane dwa grube tomy pod wiele obiecującym ty-

tułem: „Cała Lira.“ Wobec lekkomyślności, bez czytania snadź książki, rzuconego przez niektórych czasopisma, a powtarzanego chętnie przez lubujących się w odszukiwaniu plam na słońcu filistrów, zarzutu, że jest to tylko zbiór wygrzebanych przez chciwych spadkobierców z różnych szufladek zmarłego poety miernostek,—które sam autor, układając dawniejsze zbiorki, odrzucił i na zapomnienie skazał, a między którymi przypadkowo tylko jakiś brylancik wśród śmieci mógł się zabląkać—wobec zarzutu tego, powtarzamy: obowiązkiem jest stanowczym sumiennego sprawozdawcy wykazać, oile można najściślej i najdokładniej, pochodzenie książki (która zresztą sama wartością swoją najlepiej zarzut ten zbija), aby nawet ci, którym ona w rękę nie wpadnie, mniej się czuli skłonni do uwierzenia owej dziennikarskiej ploteczce. Otóż rzecz się według wszelkiego prawdopodobieństwa, tak miała.

Wiktor Hugo, niesłychanie drażliwy na to, aby najłżejszy ton nie mącił mu ogólnej harmonii i zasadniczego nastroju całej książki, usuwał częstokroć, układając dawniejsze zbiorki utworów swych, najpiękniejsze ustępy, oile te charakterem swoim lub kolorytem wyróżniały się wśród reszty i psuły wymaganą przezeń jedność cyklu całego. Ztąd wiele dyamentów najczystszej wody zalegało w rękopismach autorską tekę jego, aż kiedyś prawdopodobnie przysłał pocie myśl, aby, uzupełniwszy je tem i owem, stworzyć z nich cykl nowy, odrębny od wszystkich poprzednich charakteru, w którym nie jedna już brzmiałaby jakaś struna, lecz cała dzwoniłaby lira, w którym potężny duch jego we wszechstronnem okazać-by się mógł oświeceniu i jako „rozgłosne echo świata całego,“ tysiącami ozwać się głosy. We wspomnianym wyżej liście Karola Hugo do Vacquerie'go, datowanym z wyspy Guernsey, w rzędzie prac zajmujących wielkiego wygnańca wymieniona jest, obok „Końca szatana,“ i „Cała lira.“ Jaki miał być pierwotnie plan tego zbioru—nie wiemy. Jarosław Vrchlicki, zastanawiając się w studium o W. Hugo, które zaraz po śmierci poety począł był drukować w *Lumirze*, nad czterema jego poematami dydaktycznymi z ostatnich czasów: „Papież,“ „Litość najwyższa,“ „Religia i religie“ i „Osioł,“ przypuszcza, że były to osobno ogłoszone części dydaktycznej księgi owego ogólnego, wszystkie struny liry mającego ogarnąć, zbioru. Czy tak było istotnie?—trudno wiedzieć. Pewnem jest to tylko, że starzec-poeta nie zdążył sam przygotować ostatecznie do druku „Całej liry;“ wydawcy zaś, oile się zdaje, obeszlę się z tem dziełem z całą czcią i zostawili je bez zmiany żadnej, w tym kształcie, w jakim je znaleźli po śmierci autora, nie nie dodając, ani nie ujmując. Że tak było istotnie, świadczy, między innymi, nierównomierne wykończenie oddzielnych ksiąg całego zbioru, z których jedne są harmonijnymi, pełnymi, zamkniętymi całościami (np. księgi II, VI i VII), inne zaś szkieletowy, ułamkowy jakis pozór mają i oczekują, zda się, dopiero na wypełnienie luk i braków, aby pełnym ozwać się głosem.

## II.

Pomimo tej niezupełności, tego braku wykończenia ostatecznego w księgach niektórych, „Cała lira“ jest pośród poprzednich zbiorów poezji Wiktora Hugo i w porównaniu z niemi czemś zupełnie nowem i niesłychanie interesującym. Ma ona zupełnie odrębną fiziognomię, specjalny jakiś, niespotykany w żadnym z dawniejszych cykli charakter i nastrój. Oile w każdym z tamtych pobrzmiwał ton pojedynczy, bądź serca, jak w „Liściach jesiennych,“ bądź reflexyi, jak w „Głosach wewnętrznych,“ bądź życia wewnętrznego tylko, jak „Kontemplacjach,“ bądź znów „życia zewnętrznego jedynie jak w „Karach“ i „Roku strasnym,“—otyle tu wszystkie tony we wspaniałym, harmonijnym akkordzie się łączą. Oile w tamtych poeta dbał i przestrzegał surowo, aby najłżejszy dźwięk odrębny nie psuł mu i nie mącił panującego brzmienia jednej, wy-



branej struny, i dlatego np. nie przepuścił w pełnych melancholicznego nastroju „Pieśniach zmierzchu“ ani jednego o jaśniejszych barwach ustępu, a w słonecznych znowu, pogody pełnych „Światłach i cieniach“, albo w weselnej symfonii „Pieśni ulicznych i leśnych,“ — ani jednego cienia, któryby mógł zamrozić pogodę błękitu, ani jednej chmurki, któraby zasłoniła uśmiechnięte horyzonty, — o tyle tu, jakgdyby chcąc stworzyć ze wszystkich pojedynczych tonów wspaniałą, pełną, żadnego instrumentu niepozabawioną orkiestrę, kazał grać jednocześnie miękkim piszczałkom bukolicznym — i bębnom bojowym, harfom pieśni miłosnych — i dzwonom najpodnioslejszych, hymnowych polotów, kastanietom Hiszpanek, dzwoneczkom Pierrotów — i organom najgłębszych reflexyj. Uderzył naraz we wszystkie struny liry „których cień potężny pada na wszystko, co czynią żyjący:“ i oto nagle stanął przed oczami naszymi harmonijny, skończony człowiek, ze wszystkim tem, co czuje i myśli, nad czem boleje i czem się weseli, co chłocze biczem satyry i co ze współczuciem do serca przyciska — człowiek prawdziwy, ze wszystkim, co — według wyrażenia Brandesa — ma w sobie „nieskończenie wielkiego“ i „nieskończenie małego.“ W „Calej lirze“ mamy jakby wielką antologią, z charakterystycznych utworów Wiktora Hugo złożoną, jakby encyklopedyą całej jego twórczości poetyckiej. We wszystkich książkach poprzednich zwierciadliły się tylko pojedyncze, choć olbrzymie, rysy oblicza duchowego poety; w „Calej lirze“ ukazuje nam się we wszechstronnem oświetleniu cała potężna posagowa postać genialnego wieszczka, taka, jak ją sam w rozpoczynającym tom II-gi wierszu „Do Ludwika B.“ szerokiemi, wyrazistemi pociągami pendzla maluje:

Nie, jam, bracie, tensam wciąż. Twe skargi mi  
[dziwne:

Jakkolwiek niebo często bywa nam przeciwne,  
Chociaż nic tu nie mamy, coby naszym było,  
Choć pracę naszą ciężką, ale jednak miłą,  
Los zazdrosny mi przerwać może w każdej

[chwili,—

Jednak jam się nie zmienił; twe serce się myli.  
Tonę w dumach, jak ongi, w błogie lata młode,  
Czczę piękno, okiem tkliwie ogarniam przyrodę,  
Podziwiam, badam, modłę się wciąż z uniesie-

[niem,

Chylę się, padam na twarz przed światłem i cie-

[niem,

Mam w sobie — stworzon, aby żyć, cierpieć przez

[miłość —

Harmonijną dwojakiej muzyki zażyłość:

W głowie mej grzmi orkiestra, w sercu dzwoni

[lira.

Księga stworzenia, którą praca mi otwiera,  
Ze swemi wszechświatami, z blaskami świetności,  
Najgłębsze mózgu mego wzrusza głębokości,  
A zarazem we wszystkich fibrach drgania budzi.

Chcę wielkości dla ludów, wolności dla ludzi;  
O lepszych dniach przyszłości dla kobiety marzę.

Idę do pracowników, pomiędzy nędzarze;  
Bratniem dla nich uczuciem tętni moje łono:

Jak wieźdź tłuszcze burzliwą i roznamiętnioną,  
Jak dać prawu pewniejszą i szerszą podstawę,

Jak, choć w części, usunąć bóle, jęki i ławę,  
Głód, znój ciężki, zło, kłeski nędzy niezwal-

[czonej,—

Wszystkie troski te w myśl mą zatapiają szpony.  
I znów, z dum tych przechodząc łatwo do wesela,  
Czuję nagle, jak radość w serce mi wystrzela,  
Gdy w mem kółku rodzinnem jakimś jednym

[słowem,

Albo jakimś dziwactwem niespodzianem,

[nowem,

Wywołam przy kominku kryształowe echa  
Śmiechów dzieci, przy których sam Bóg się

[uśmiecha.—

Takim znałeś mię; takim zostałem i będę.  
Tylko dziś, gdy wśród grona swych drogich

[zasięde,

Zal częstokroć pogłębia zmarszczki mego czoła;  
Chętniej, prędzej uciekam od szczęśliwych koła,  
A w oczach mych, co często mkną za kresy ziemi,  
Uśmiech staje się bledszym, a cienie głębszemi.

Ten portret własny, rzucony przez poetę na papier dnia 11 Października 1846 r., jest najpodobniejszym, bo najzupełniejszym. Świadczy o tem cała jego działalność poetycka, a najjaśniejszej i dostępniejszej dla każdego, będąca przepyszcznem *resumé* działalności t-j, „Cała lira.“ Nie każdy może zgłębić niezmierny ocean poezji Wiktora Hugo, nie każdy zdolny jest z rozrzuconych tu i owdzie rysów, często napozór sprzecznych i niweczających się wzajemnie, odtworzyć sobie duchową fiziognomię wielkiego wieszczka. Oblicze jego objawia się tam w tak kolosalnych wymiarach, że nie każdy jest zdolny ogarnąć okiem wszystkie jego strony i szczegóły. W „Calej lirze“ poeta streszcza się, skupia, koncentruje; mamy tu w zdrobnieniu całą jego wielostronną twórczość — i łatwiej nam ją objąć. Sprawia to wrażenie jakby małej fotografii olbrzymiego monumentu; w naturalnej wielkości swej przygniatła on nas gigantycznymi rozmiarami swemi i nie pozwala ocenić wszystkich stron swych i części: wynosimy tylko wspomnienie ogromu i potęgi, nie mogąc nawet odczuć należycie harmonii wszystkich jego kształtów, zatapiając się zaś w szczegółach, możemy znowu zatracić pojęcie związku ich i stosunku do całości. Na mniejszym wizerunku dopiero jesteśmy zdolni z całym estetycznym zadowoleniem rozkoszować się całością i szczegółami odrazu. Naturalnie, zmniejszenie takie nie dla wszystkich jest potrzebne, bo duch jędrniejszy, szerszy i w całym oceanie poezji Wiktora Hugo da sobie radę, ale mówię tu o przeciętnych osobnikach, które potrzebują mieć drogę wskazaną, bo sami jej sobie odnaleźć i utorować nie potrafią. Dla tych zwłaszcza „Cała lira“ jest nieocenionym nabytkiem. Nie potrzeba tu już doszukiwać się z mozołem rysów duchowego oblicza poety. Stoją one przed okiem naszym w całej wyrazistości. Oto naprzód poeta-wieszcz, poeta-prorok, poeta-apostoł, „w łonie którego wre tajemnicza otchłan słów burzliwych.“ Pracuje on, „pisze wierszem, pisze prozą, marzy, robi wszystko co może, aby wydobyć się z więzów, kłamstwa, zła, egoizmu i błędu.“ „Jako, myślicielu,“ — pytają go — „chcesz przywrócić w głębi ducha swego równowagę między ideą a wyrazem, między czemś większem i czemś mniejszem.“ Proza? — na co? Wiersze? — po co? Rymy, frazesa? — do czego? Na co otchłanie, tajemnice, życie i śmierć; sekret niewytłomaczonego, tajemniczego wzrostu lasów i ludów, na co mroki, w które zapadają się państwa, na co cała ta zagadka ludzka, którą Szekspirowie próbowali zgłębić, w której, z szeroko otwartymi oczyma, chcieli dokopać się czegoś Tacyt ze swą prozą i Dant ze swemi tercynami? Na co piękność, sztuka, forma, styl? Na co Lukrecyusz ze swemi spondejami i Horacy ze swemi daktylami? Na co ci wszyscy układacze rytmów i słów: Pindar, Eschylos, Hiob, Plaut, Izajasz, Amos? Na co to wszystko, co czyni człowieka wielkim na ziemi? „Niechaj lepiej zamleczą ci, którzy tak mówią“ — odpowiada poeta; — „znam oddawna ich próżne zarzuty.

Sztuka, to wielkie koło, — jam jego Ixyonem.

Pracuje. Nad czem? Ależ... nad wszystkim;  
[myśl przecie —

To wielka brama, w której co chwila znajdziecie,  
Przechodniów, których imię Cześć, Żal, Rozum,

[Cnota,

A którzy mają prawo wejść w dom przez te

[wrota.

Spostrzegam w górze zorzę dnia wiecznego białą:  
Kto widzi więcej nieba, temu ziemia mała;

Daję zmarłym, w mej duszy, mknącej na burz osi,  
Pamięć, którą niepamięć o żywych podnosi.

Tak, druhowie, pracuję tak myślę, tak, piszę!  
Bo w nagrodę ma spokój ogromny i ciszę

Człowiek, co, we krwi brocząc, z pogardą na

[czole,  
Stara się — by mniej cierpieć — tonąć w marzeń

[kole.

Jakieś tchnienie ogromne ogarnia mię, chwyta.  
Przyszłość daleka; zorza, za górami skryta,

Wybłyska mi nad wszystkie czarne widnokregi;  
Przez te sny-to wstajemy tak pełni potęgi!

O, ten dreszcz, gdy marzyciel staje się pro-  
[rokiem! 1).

„Czuję, że z obowiązku piszę te wszystkie rzeczy, które cienia mej ręki zdają się rodzić zło-wróbnie na drzącym, żółtym pargaminie. Czy przypadkiem nie ty macisz myśl moją, a wielkie tchnienie szarów prorockich? Dokąd-że coś mnie ciągnie w te nocne błękity? Czyliż ja niebo widzę? Czy też jest to tajemne marzenie, którego wrota spostrzegam przed sobą naoścież rozwar-te? Czy ja słucham kogoś? Czy ja rozkazuję? Ciemności, ja-ż uciekam? Czy też jam w pogoni? Wszystko wali się; nie wiem chwilami, czy jestem jeźdźcem dumnym, czy też rozszalałym rumakiem; mam berło w ręku, a w ustach wędzidło. Otwórzcie się, dajcie mi drogę. Przepuść mię, ty, otchłani błękitna, ty, przepaści czarna! Zmilknij, gromie! Gdzie mię wiedziesz, Boże? Jestem wo-lą, lecz razem jestem szaleem dzikim. O, ten lot w nieskończoność! Chwilami chcę wołać, jak Jezus, co na krzyżu wołał Lamma Sabahtani: Czy droga jeszcze długa? Czy to koniec, Panie? Czy prędko mi pozwolisz odpocząć i zasnąć? Duch wieje kędy chce. Czuję wiew ogromny, który uczuł Elizeusz i który go uniosł; słyszę w nocnych ciemnościach głos czyjś, mówiący mi: „Idź“ 2).

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Modlitwa matki.

Modlitwo matki! gdzie będziesz ty,  
Gdy w duszy dziecka zwątpienia mgły  
Roztoczą mroki i cienie?  
Gdzie będziesz wtedy, gdy życie brudem  
Splami jej kwiatek, chowany z trudem,  
Kiedy nań spadnie cierpienie?  
Modlitwo matki! ty w nocnej ciszy  
Płyniesz ku niebu — a ziemia słyszy  
Jęk, który rozpacz wyrывa...,  
Ona się modli kornie schylona,  
A może syn jej gdzieś w dali kona,  
Albo szatany przyzywał...  
Powiedz: czy siła twoja podola  
Jednego dziecku zdobyć anioła  
By je wiódł wyżej... ku Bogu?  
I gdzie upada twoja potęga?  
Jak się zwie ciemność, w którą nie sięga?  
Na jakim chwiejesz się progę?...  
Najmniejszy atom w świecie nie ginie,  
Kaźde pragnienie w ducha krainie  
Zaznacza swoje istnienie;  
A umysł dziecka światłość przenika,  
Gdy matką jego mężna Monika,  
Gdy jej nie złamie zwątpienie.

Kruczyn.

## NOTATKI PEDAGOGICZNE.

Od p. Waldemara Osterloff'a, bawiącego w Fontenais pod Porrentruy na Pograniczu Szwajcarsko-Francuzkiem, otrzymujemy następujące szczegóły o szkołach miejscowych i szkolnictwie w Szwajcaryi.

1) „Pracuje“, XX, Ks. V, tom 2-gi str. 62.  
2) XXI, Ks. V, tom 2-gi, str. 55.



„Istniejący systemat przymusu szkolnego przynosi pożądane owoce: wszyscy mieszkańcy umieją czytać i pisać, niektórzy dobrze prowadzą rachunki i znają historią, prawodawstwo i geografiją własnego kraju. Na 500 ludności Fontenais posiada 4 szkoły, czyli „classes“, w których wykładały dwie nauczycielki i dwóch nauczycieli.

„Szkołę w Fontenais stanowią dwa piętrowe budynki z ogródkami; w jednym mieszczą się trzy klasy, zwane: 1) classe inférieure; 2) classe inférieure moyenne; 3) classe moyenne supérieure; w drugim znajduje się klasa najwyższa: *classe ou école supérieure*. Higiena, zwłaszcza: pod względem urządzenia ławek, pozostawia wiele do życzenia. Przy klasie IV znajduje się ogródek, w którym uczniowie pracują własnoręcznie i korzystają materyalnie z pracy. Książki otrzymują kosztem gminy, zwracają je jednakże po ukończeniu kursu; na zeszyty, ołówki, pióra płać wszyscy tygodniowo po jednym *sous* (5 centymów). Z metodyki przedmiotów zwróciła moją uwagę lekcja geografii w klasie *moyenne supérieure*; a mianowicie sposób rysowania map. Nauczyciel rozdaje uczniom wycięte z tektury mapy okręgów (*district*), uczniowie kreślą ołówkiem granice według danej formy, następnie nauczyciel rysuje na tablicy od ręki, to samo, poczem oznacza i nazywa miasta, uczniowie naśladują go na papierze i powtarzają kolejno nazwy miast.

„Latem lekcje trwają niedługo: od 7-mej do 11-ej, z kilku pauzami po 5 minut i kwadransie. Chłopcy uczą się wspólnie z dziewczętami. Nauczyciele nie zmieniają się, lecz każdy wykłada stale w jednej klasie przez cały rok. Lekcyi religii udziela ksiądz.

„Porrentruy posiada seminarium nauczycielskie (*école normale de régents du Jura bernois*), szkołę kantonalną, złożoną z oddziałów: filologicznego, i realnego, szkołę miejską i szkołę zegarmistrzów. Miałem dotychczas sposobność zwiedzenia tylko szkoły normalnej. Mieści się ona w starym gmachu poklasztornym. Według orzeczenia dyrektora okoliczność ta stanowi przyczynę niedostatecznego uwzględnienia higieny. Z urządzeń zakładu zwróciły moją uwagę: 1) oddzielne komórki dla uprawiających się w grę na skrzypce,—uczniowie mogą tam pracować nad muzyką nie kalecząc uszu bliźniego; 2) bogaty zbiór map krajowych; 3) szafki w ścianach klas dla książek uczniów i na kurytarzach dla zwierzonego ubrania przychodnich; 4) wyborne posłane łóżka; 5) ogród botaniczny, zastosowany do nauczania, zawiera bowiem rośliny typowe, służące za przedmiot do wykładu botaniki; uprawia ich zajmują się sami uczniowie; 6) kurytarze ozdobione herbami kantonów i portretami pedagogów; 7) obszerne i miłe, jakby wśród-rodzinne wrażenie sprawiająca sala jadalna, z którą bezpośrednio łączy się wzorowo utrzymana kuchnia.

„W pobliżu Porrentruy, w Delemont, istnieje seminarium nauczycielskie (*École normale pour les jeunes filles*). Liczba uczennic dochodzi zaledwie do trzydziestu. Wychowawice zakładu odbywają wspólne wycieczki. W jednym roku zwiedziły znaczną część Szwajcaryi alpejskiej, oraz bliższe miejscowości jurajskie, odznaczające się pięknnością położenia.

„Ciało nauczycielskie stanowi: 2 nauczycieli, z których jeden jest dyrektorem, i 1 nauczycielka.

„Przedmioty nauczania: Pedagogia, Religia, Język Francuzki, Matematyka, Muzyka, Historia Naturalna, Historia, Geografia, Rysunek, Kaligrafia, Gimnastyka, Praca ręczna.

„Bardzo żywo porusza teraz wszystkich w Szwajcaryi kwestya robót ręcznych w szkole ludowej. Rzeczpospolita nie chce pozostać w tyle za Holandją i Szwecją, gdzie reformę taką już dawno przeprowadzono. W niektórych kantonach praca ręczna wykładana bywa z wielkiem powodzeniem. Nie miałem dotąd sposobności naocznego przekonania się o tem; z ustnych jednak i piśmiennych sprawozdań wnoszę, że przedmiot ten ma wielką przyszłość przed sobą. Pogląd na zadanie pracy ręcznej w szkole są rozmaite. Jedni pragną głównie wpłynąć etycznie na wychowanie, ucząc go wytrwałości, cierpliwości, zamiłowania pracy ręcznej podnosząc miłość własną słabo

uzdolnionych, przyczem dążą do skutecznego zastąpienia gimnastyki zajęciem zdrowem fizycznie i moralnie. Inni widzą w pracy ręcznej głównie przygotowanie do życia. W kantonie Fribourg dzieci uczą się systematycznie wyrobu sprzętów i narzędzi codziennego użytku; pierwszą ich robotą jest kijek do podtrzymania rośliny w donicze, następnie wyrabiają rękojeści drewniane do różnych narzędzi, do siekier zwłaszcza, dalej obsadzki, linie, kajety i t. p. Zauważono, że dzieci umysłowo leniwe lub słabo rozwinięte oddawały się pracy ręcznej z większem od innych zamiłowaniem, powodzenie zaś na tem polu dawało im tyle otuchy i pewności siebie, iż zaczęły więcej przykładać się do nauk książkowych, i do dobrych dochodziły rezultatów. W niektórych miejscowościach kładą większy nacisk na zajęcia ogrodnicze rolnicze, jakoto: szczepienie i hodowanie drzew, tępienie zwierzątek szkodliwych dla roślin, gradzenie, kopanie, siew.

„Bezpłatność nauczania stanowi również kwestyą bardzo ważną, a nie we wszystkich kantonach już rozstrzygniętą. Co więcej, nie we wszystkich gminach jednego kantonu istnieje jednakowy stan rzeczy pod tym względem. Tylko w Kantonie Bazylejskim przeprowadzono zupełną bezpłatność nauczania, od szkoły elementarnej aż do uniwersytetu.

„Bezpłatność tę należy rozumieć, nietylko w ten sposób, iż uczniowie nie płać wpis w szkołach początkowych i gimnazjalnych, lecz, że podręczniki, kajety, ołówki—wszystko, czegokolwiek do nauki potrzebują, otrzymują darmo.

„Szkoła specjalna t. j. przygotowująca do pewnego danego zawodu, czy też szkoła ogólnie kształcąca?—oto pytanie, którem bardzo żywo zajmują się tutejsi pedagogowie. Doświadczenie uczy, że ułatwienie kształceniu młodzieży tworzy proletaryat umysłowy, który w kraju nie znajduje pomieszczenia; braknie zato zdolnych rzemieślników; w Genewie, naprzykład, rzemiosła znajdują się wyłącznie w rękach cudzoziemskich. Jest to złe, a zaradzić mu chciano przez dobre szkoły rzemieślnicze, owoce jednakże nie odpowiedziały dotychczas oczekiwaniom: uczniowie po ukończeniu zakładu odgrywają rolę panów i nie dobrze widziani są w warsztatach; to samo stosuje się do wychowanców szkół handlowych. Mojem zdaniem, szkoła ludowa z pracą ręczną owiele jest ważniejsza, niż rzemieślnicza. Czternastoletni chłopiec, pracując i fizycznie i umysłowo, ma sposobność do wybrania tego sposobu pracy, który mu najwięcej odpowiada. Po ukończeniu szkoły elementarnej może on, ucząc się praktycznie rzemiosła, kształcić się umysłowo w szkole wieczornej. Podnoszą się jednak liczne głosy przeciw łączeniu nauki praktycznej, t. j. terminu, z nauką teoretyczną, uważają bowiem, że praca fizyczna przez dzień cały uniemożliwia pracę umysłową wieczorem. Niektórzy tutejsi wychowawcy do tego stopnia są przeciwni specjalnym średnim zakładom naukowym, iż żądają zniesienia nauczycielskiego seminarium: przyszli nauczyciele mogliby uczyć się do kolegiów, a następnie do uniwersytetu. Przeciwnicy podobnej reformy twierdzą, że przygotowanie w kolegium nie wystarczy, a wykształcenie uniwersyteckie albo nie wydałoby wcale kandydatów do stanu elementarnych nauczycieli, albo też włożyłoby na gminy ciężar ponad siły.“

## NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

Luda, zdawało się, nie dostrzegła niedźwiedzia, tak była spokojną. Czy leż nie stało, czy prze-

strach na nią działał, dość, że nie płakała; pochylała się nad trupem ojca, ucałowała jego rękę i schylona modliła się cicho.

Niedźwiedź, zdziwiony, a może zaciekawiony tem wszystkim, co się stało, nie uciekał wcale; usiadł opodal nieco od trupa na zadzie i z oczu Ludy nie spuszczał. Patrzył na pochyloną nad trupem dziewczynę tak ciekawie, jakby pragnął zdać sobie sprawę z tego, co się koło niego działo, patrzył spokojnem i łagodnem okiem, jakby żadnych złych zamiarów nie miał. Nozdrza tylko i nos poruszały się mu żywo. Co chwila jednak podnosił uszy, nasłuchiwał, ale Ludy z oczu nie spuszczał.

Dziewczyna, może oprzytomniawszy nieco, przypomniała sobie, że ma niezawsze bezpiecznego sąsiada, może skończyła modlitwę—dosyć, że podniosła głowę i spojrzeń jej oko w oko spotkało się z łagodnym wzrokiem niedźwiedzia, ale w tej-że chwili pomiędzy gałązki i liście świsnęła strzała i w lewym boku niedźwiedzia utknęła. Zraniony zwierzę ryknął z bólu i gniewu, prawą łapą po pysku się uderzył, potem szarpnął strzałę i z rany wyrwał, ale jednocześnie prawie na grzbiet się powalił. Rana była śmiertelną, bo strzała w serce trafiła.

Wszystko to chwilę tylko trwało. Luda odskoczyła przerażona od trupa ojca, ale tuż za nią dały się słyszeć głosy ludzkie i tentent koni. Obejrzała się—nie swoi... z ubioru i koni poznała, że nie Polowcy, ale i nie swoi... Mowa dźwięczała wprawdzie podobnie—jednak była inną. Zpoza krzaków migały postacie jeźdźców—domyśliła się!

— Lachy! — krzyknęła i znowu na kolanach przypadła do trupa ojca.

Byli to Lachy wistocie. Oddział wojska Bolesława, spóźniwszy się, podążał właśnie ową leśną drużyną na wyznaczone dla siebie leże na Berestowie, gdy nagle posłyszano ryk niedźwiedzia. Oddział zatrzymał się tuż obok tego śladu, czy ścieżki, którą poszła Luda i z kąd wyraźnie dał się ryk słyszeć. Kilku powoli wysunęło się naprzód i oczom ich przedstawił się wkrótce widok trupów wiszących na gałęziach dwóch dębów, a po nad nimi, spłoszone rykiem niedźwiedzia, krążyły kruki i wrony. Spostrzegli zdaleka dziewczynę, pochyloną nad trupem i siedzącego naprzeciwko niej i wpatrującego się ciekawie niedźwiedzia.

Nie wiedzieli co to wszystko ma znaczyć. Siedzący spokojnie niedźwiedź obudził chętkę spróbowania szczęścia. Jeden z orszaku ściągnął powoli łuk z ramion, nałożył strzałę, naciągnął cięciwę i pochyliwszy się na koniu pomiędzy gęste gałęzie, ażeby nie być widzianym i nie płoszyć niedźwiedzia, długo celował, aż nareszcie wypuścił strzałę—jak widzieliśmy — śmiertelną. Wtedy to zjawiło się naraz na polanie przed oczyma zdziwionej Ludy kilku konnych jeźdźców, a poza nimi, napół przykryte gałęziami leszczyzny, kaliny i młodego podszycia, migotały smagłe, opalone wiatrem i słońcem wąsate twarze laskich wojowników.

Ten, który przodem jechał, a zabił niedźwiedzia, widać bogatego był rodu, i nieposlednim żołnierzem w drużynie. Rosły koń jego miał piękny stalowy napierśnik i takiż nagłownik w łuskę; i jeździec był nie gorszy: na głowie błyszczał mu hełm stalowy, na piersi—koszulka w łuskę, na nogach—nagolennik aż za kolana sięgający; u boku wisiał miecz długi, a przez ramię łuk i sajdak.

Tym rycerzem był jeden z przyjaciół Króla Bolesława, nieco starszy od niego, ale nieodstępny towarzyszył trudów i znojów—Bolech, z rodu Jastrzębiec.

Zsiadł z konia i tuż obok stojącemu pachołkowi udeję do rąk oddał. Zbliżył się do Ludy, klęczącej nad trupem ojca.

Nie wiedział, co począć.

— Nie bój się, dziewczyno — rzekł łagodnie—już cię ten burek straszyć nie będzie...

Luda z sobą słyszała chrzęst i łomot łamiących się gałęzi; przestraszona nie nie odpowiedziała. Bolech stał długą chwilę wśród tej niemej sceny, nie mogąc odgadnąć zagadki.

— Co ci jest, dziewczyno? — zapytał.



Na głos ten, w którym dźwięczała nuta współczucia, podniosła oczy i spojrzała nań; wzrok jej, w którym, zdawało się, błyszczała łza zastęga, był jakiś smutny i w głębi zapatrzonej.

— Ojciec... — wyrzekła pokazując ręką trupa, przy którym kłęzała — przyszedł go pochować...

Słowa te wywołały pewne współczucie...

— Ojciec... ojciec... — powtórzyło kilka głosów, ale nikt nie wiedział, co to się stało, i zagadki, na jaką patrzył, wytłómaczyć nie umiał.

Tymczasem, na odgłos rozmowy, w polankę poczęło wjeżdżać coraz więcej rycerzy i wkoło otoczono Ludę, i trupy i zabitego niedźwiedzia, który przy trupie wojewody leżał.

Któryś z oddziału widocznie słyszał już od Kijowianów, co robił Mścislawa i jak drogę ojcu torował do grodu: domyślił się więc łatwo, co to są za trupy.

— Ha! ha! — rzekł rubasznie — Mścislawa widać tu sprawiedliwość wykonywał!

Luda zrozumiała; słowa te jakiś żal większy wywołały w duszy, pochyliła się więc nad trupem ojca, poczęła zimne jego ciało całować i płakać.

— Mój biedny, ojczule! Cóż ty zawinił, że twoje życie potrzebne im było?

Cała ta scena smutnie oddziaływała na patrzących. Stali w milczeniu i nie wiedzieli co począć.

Jeden z rycerzy szepnął półgłosem do Bolecha:

— Nie będzie tu przecie cały dzień płakać!

— Trzebaby ją do domu odesłać — zauważył Bolech. Potem, niby sam do siebie, mówił: dać znać na kniaży dwór... należy przecie starego pogrzebać... no, i innych; nie będą tu czekać, póki ich wilcy pojedzą!

Ktoś ze środka orszaku zagrzmiął tubalnym głosem:

— Izasław kazał ich synowi powiesić, a teraz grzebać będzie — co?

Rozmowa przerwała się, ale kwestya: co robić z dziewczyną i trupem? — rozwiązana nie była.

— No, dosyć płaczu, dziewczyno! — rzekł Bolech — każę cię odprowadzić do domu, przy ojcu straż zostawię, a potem przysięgę czeladź, aby go zabrać i pogrzebać...

Słowa te jakby obudziły Ludę.

— Nie pójdę — odrzekła — nie zostawię go przecie na urągówisko...

Bolech namyślał się co zrobić.

— I tu nie zostaniesz przecie!

Luda, jakby nie słyszała tego, co Bolech mówił.

— A ojciec?

— Straż zostawię... — odpowiedział Bolech.

Luda, znekana smutkiem i żalobą, nie stawiała żadnego oporu. Zdawało się, że boleś zgniotła ją i zlamala.

Bolech myśli dziewczyny odgadł.

— Mieczek! — zawołał do jednego ze stojących przy nim rycerzy — wybierz sobie jeszcze ze dwóch i zostańcie tu dopóki nie przyjdą posłani zabrać trupy i pochować.

Wnet z tłumu wydzielili się ochotnicy i otoczyli Mieczka. Bolech zabrał Ludę na siodło. Nie bronila się, nie rzekła ani słówka, była jak bryła bezwładna. Oddział w nieładzie wycofał się z gęstwiny leśnej, sformował się na drożynę dwójkami i ruszył powolnie, spuszczając się na Chreszczatą Dolinę ku mostkowi niedbale rzuconemu przez bystry potok, pomykający pomiędzy schyłone ku niemu wierzby do Dniepru. Za potokiem drożyna kręto podnosiła się do góry. Przebywszy spory kawał drogi, wyjechali dobrze pod górę, gdzie las już rzedniał; naprawo ciągnęła się wprawdzie dzika puszcza, ale nalewo, między tu i ówdzie rozrzucone drzewa, połyskiwał Dniepr, płynący szeroką smugą, zieleniał Turchanów Ostrów i do słońca inigotał krzyżyk klasztoru S-go Miłkołaja.

Tem właśnie droga rozwidlała się: jedna prowadziła na Berestowo, druga nalewo, pod Monaster Peczerski, wiodła na Wydubycze, gdzie książęcy terem, zwany Krasnym Dworem, położony nad Dnieprem w czarującej okolicy, od ro-

ku zaledwie zbudowany, przeznaczony był na siedzibę Bolesława.

Luda błędem okiem patrzyła wokoło, jakby sobie sprawy nie zdawała z tego, co się dzieje koło niej.

Po drodze nigdzie żywej duszy nie spotkali. Ludzie chowali się do chat i lepianek, lub też z bydłem, żonami i dziećmi uciekali w debry, bo echo o wykonywanej przez Mścislawa sprawiedliwości całą okolicę obiegało i siało postrach.

Kiedy już na polankę wyjechali, spytała Bolecha:

— Dokąd mnie wiesziesz?

— Na Krasny Dwór.

W tej-że chwili pomiędzy drzewami migać począł ostrokół i liczne zabudowania Krasnego Dworu.

Dziedziniec był pełny żołnierstwa, kiedy oddział Bolecha nań wjechał. Widząc kobietę na siodle, poczęto obyczajem żołnierskim żartować.

— A, cóż — nie próżnowałeś, Bolechu.

Bolechowi żart nie podobał się.

— Nie próżnowałem... — odrzekł obojętnie.

— A gdzie przydybałeś sarnę?

— Ha, to moja rzecz!

— Kiedyś dostał, to twoja; nikt ci nie odbierze...

Kiedy się tak Bolech ciekawej braci opędał, towarzysze jego już zdołali opowiedzieć o całym zdarzeniu i ogólne współczucie wywołać dla dziewczyny.

Luda stała milcząca i zamyślona przed rundukiem.

Dano znać królowi, który był w komnatach; po chwili niedługiej wyszedł i stanawszy w sieni pod rundukiem, z podziwieniem wpatrywał się w piękną dziewczynę.

Luda, spuściwszy ręce, splotła ręce i patrzyła tym wzrokiem, który nic nie widzi.

Król zwrócił się ku stojącej gromadzie rycerzy.

— Skądże, Bolechu, brankę przywiozłeś? — zapytał.

— Sierota, miłościwy królu — odrzekł — i, zbliżywszy się do króla, począł całe zdarzenie opowiadać.

Rozmowa ta zbudziła ją z zamyślenia.

Luda podniosła wielkie błękitne oczy na Bolesława i pilnie poczęła mu się przypatrywać, jakby go poznawała. Obrzuciła okiem dziedzińiec i zdało się jej, że ci rycerze i konie i ten, którego nazywano królem, są jej niby znani... że już widziała ich gdzieś... przypominała sobie kiedy... gdzie — usiłowała odgadnąć.

Nagle zakryła twarz obiema rękami.

— Boże! Boże! — krzyknęła.

W wyobraźni dziewczyny stanął tak niedawno jeszcze widziany obraz, wywołany siłą zaklęcia: zdało się jej, że poznała rycerzy, konia i króla... Król — był to tensam, który jechał przodem wówczas, kiedy przez maleńkie okienko dziewczęcej górniczy patrzyła w noc gwiazdzistą na wierchołki drzew sadu w domu ojca...

„Sądzony“ zjawił się poraz drugi przed jej oczyma.

Nikt jednak z otaczających nie wiedział, jaki był powód przerażającego wykrzyknika Ludy, który miał tę tylko dobrą stronę, że wywoływał ogólne współczucie, dla dziewczyny.

Bolesław zbliżył się do niej.

— Nie lękaj się, dziewczyno — rzekł — nic ci złego nie zrobimy. Prawda, może jesteśmy nieco straszni dla ciebie, ale nie tak bardzo źli.

Luda drżała na całym ciele w milczeniu..

— Jakże cię zwać mamy? — zapytał.

— Luda...

Król położył rękę na jej ramieniu.

— Uspokój-że się, moja ty rusalko dniprowa — rzekł — poślę, aby przywieźli ojca... gdzie go chcesz pogrzebać?

Luda podniosła na niego błękitne oczy.

— Nie wiem...

— Gdzież pragniesz?

— Na Mogile Askolda, na Wydobyczach może... odrzekła — tam będzie mu spokojniej...

Ujęta łagodnością i dobrocią Bolesława, Luda uspokoiła się nieco. Król kazał ją umieścić tymczasowo w górnych komnatach teremu, ma-

jąc zamiar odesłać do domu i do krewnych, jak tylko ucichnie nieco gwar wojskowy.

Po przejściu pierwszego wrażenia bojaźni, wywołanego niezwykłym położeniem wśród nieznanym ludzi, natyle przynajmniej, że mogła zdać sobie sprawę z tego, co zaszło, — zdziwienie, przerażenie ją opanowało. Wokoło siebie widziała przepych, zbytek, bogactwo — jakby ją ręka czarodziejska przyniosła tu z innego świata i umyślnie całym otoczeniem wpołtajemniczej blasku oblała, ażeby mogła zapomnieć przed jej boleści chwili niedawno przebytej. Nie umiała sobie wytłómaczyć zmiany. Górnicza teremu świeciła się marmurami, pozłotą, sufity i ściany połyskiwały świeżymi barwami malowań, a wszystko to było tak piękne, tak bogate, jakby przed chwilą królowa wyjechała ztąd na łowy do sąsiedniego lasu i powróciła miała przed wieczorem do zaczarowanego teremu...

Marzenie dorysowywało resztę szczegółów tego tajemniczego obrazu, w którym jej postać powołana została do akcji. Rozgorączkowana fantazyja dziewczyny szukała na to wszystko odpowiedzi we własnej myśli, w pamięci — i znaleźć nie mogła. Raz zdawało się jej, że Izasław kazał ją słać do swego domu zaciągnąć, aby zamordować tak, jak zamordował ojca — i wskutek powiązania myśli stawał przed jej oczyma cały obraz pelen grozy, tak niedawno jeszcze w Debrach widziany. To znowu zdawało się Ludzie, że ją porwał Żmij skrzydlaty i zaniósł do choromów królewicza Waligóry; że gdzieś daleko słyszy jakies śpiewy, jakąś kołysankę, którą chce ją odurzyć, potem usnąć na wieki...

Nie umiała znaleźć rozwiązania zagadki.

Nagle przebudzała się z marzeń i jakby po śnie jakim czarownym, pytała siebie: gdzie jestem? Zbliżyła się do okienka, słuchała, patrzyła — nieznajoma okolica... Daleko połyskiwała do słońca zachodzącego rzeka — Dniepr pewnie, wokół szumiały błękitnawe wierchołki lasów, a tu bliżej jakies nieznajome głosy, nieznana mowa dolatywały do jej uszu... I znowu przed nią występowało się pytanie bez odpowiedzi: gdzie jestem?

Niepewność, nieświadomość, trwoga zmieniały się w jej duszy jedna po drugiej; przesuwały przed jej oczyma rozmaite wpołtajemnicze, wpołfantastyczne obrazy na szerokim, krwawym tle polany, na której odszukała wiszącego trupa ojca. Wśród tych rozmaitych drgnień dziewczęcego serca coś jakby szeptało jej cicho: nie bój się... to on, twój „sądzony“ zamknął cię tutaj... to królewicz Waligóra, który szukał sobie najpiękniejszej żony — i znalazł... pojechał po nią na czele zbrojnego orszaku, przywiózł i w choromach swoich posadził... Czego się masz lękać? Widzisz, jakie tu bogactwo, jaki przepych, jakie złota — do brze ci tu będzie u niego... Po kim masz tęsknić? Za kim? Miałaś tylko ojca, już go nikt nie wróci...

Uspakajala się na chwilę.

Potem gdzieś głęboko, na dnie serca znowu coś niby poruszyło się, coś żyło — czy to sumienie? Wieczór już nadszedł; siedziała sama, siedziała w półoswieconej zmrokiem górniczy w obu dłoniach głowę ukrywając, a głos jakiś natrętny mówił do niej surowo, jak ojciec rozgniewany: Wracaj do domu! nie tu twoje miejsce! zostawiłaś dziewczęcą górnicę w ojcowskim terenie samotną — wracaj... Czemu idziesz za zwodniczym śpiewem rusalek? Nęca cię do kryształowych choromów pod wodą, usypiają twoje sumienie rozkoszą, przyuczą do siebie, pochwycają, załaskoczą, a zamiast kryształowych choromów uścielą ci chłodne łóżko na dnie złocistym Sławuty... Teraz wolała do siebie, a potem, kiedy się obudziła — odepchną w głębinę, zkaąd nigdy już nie ujrzyś ciepłego słońca, błękitnego nieba i sadu otaczającego choromy ojcowskie, gdzie bawiłaś się dzieckiem, gdzie w cieniu zasypiałaś, ukolysana pieśnią matki i Dobromiry...

Głos ten niewidzialny ścisnął jej serce, dławiał piersi, łkaniem wyrwał się z duszy i przemawiał jej jednej zrozumiałym językiem: „wróć, wróć“... Zasiłuchała się w to niepojęte wołanie i w ciszy wieczornej siedziała sama.

Wtem lekko otworzyły się drzwi, na palcach, z głowami pochylonymi weszły służebnice po-



korne i o rozkazy spytały; nie wołała ich, nie myślała o nich: same przyszły jakby je czarodziej jaki na usługi przysłał.

Cały ten długi bolesny dzień łez i szamotania się rzucił na łóżko dziewczynę, a sen, przelatując nad zmęczoną powieką, nasuwał ją na błękitne oczy: zasnęła. Śnił się jej dawny, znajomy sen; śniło się jej, że oglądała znowu sążone go, tegosamego, którego z okienka swojej górniczy, po powrocie z sobótki, widziała przejeżdżającego po nad drzewami ojcowskiego sadu, którego widziała potem otoczonego stalowymi rycerzami na gan-ku Krasnego Dworu; śniło się jej, że to królewicz Waligóra, że ją porwał, uniósł, w zaczarowanych choromach schował... Sama jedna mieszkała w choromach, ale tak jej było spokojnie, dobrze, taką się czuła szczęśliwą przy boku królewicza... Spała snem kołysana aż do rana...

Luda tedy zamieszkała na Krasnym Dworze. Wprawdzie obiecywał Bolesław odesłać ją do domu, jak się tylko nieco gwar i rozruch w mieście uspokoi, ale skończyło się na obietnicy.

Pierwsze wrażenie i smutek tak dziewczynę przygniotły, że nie umiała sobie zdać sprawy ze swego położenia, potem wpadła w stan jakiejś apatii, zmęczenia. Smutek zabijał w niej rozważę.

Przez kilka dni nikt więcej, oprócz służebnic usługujących jej z pokorą, jak królowie, do niej nie wchodził. Przez okno górniczy widziała tylko szeroką smugę Dniepru, wijącą się daleko, a na dziedzińcu ruch koni i rycerzy. I oto było wszystko.

Po kilku dniach zapragnęła wrócić do domu i znać o tem dała przez służebną dziewczynę.

Do grydnicy wszedł piękny mężczyzna. Znalazła się z nim sam na sam.

Nieznane dotąd uczucie opanowało ją, kiedy wzrok jej spotkał się ze spojrzeniem młodego rycerza. Stał znowu w jej myśli ów „sążony“, poprzedzony nieskończoną ilością bań i pieśni, któremi młodą duszę dziewczyny karmiono,—i przemówić nie mogła. Nie wiedziała: co począć, co mówić—jakby ją strach jakiś opanował. Coś jej szeptało, że tym „sążonym“ jest Król Lacki.

A ten król o surowej twarzy przemawiał do niej tak słodko, tak łagodnie, że głos jego śpiewem się jej wydawał.

— Chcesz wrócić? — pytał ją.

Luda spojrzała mu w oczy.

— Smutno mi tu... — odrzekła.

Głos jej drżał głębokim wzruszeniem.

— Zostań jeszcze — rzekł król łagodnie, przy- ciągnął Ludę do piersi i w twarz pocałował. — Później nie będzie ci może smutno — zakończył.

Nie broniła się pocałunkowi, chociaż dotąd nigdy obce usta nie dotknęły się nawet jej czoła, zdała się dziewczynie tylko, że płomień po twarzy ją musnął.

Nie wiedziała co odpowiedzieć, takie ją opano- wało wzruszenie.

— Panie mój... — wybelkotała.

Oczy obojga spotkały się ze sobą, i coś prze- mówily.

— Zostań, dziecko... — rzekł król—wrócić mo- żeż kiedy zechcesz...

Luda została, posłuchała głosu, który przed- tem nigdy się w niej nie odzywał. Jakaś siła, jak Waligóra Żmija, przywiązała Ludę do jego twa- rzy smagłej, do oczów błękitnych. Kochała go, tęskniła do niego. Kiedy był w domu—wyszuki- wała go na dziedzińcu pośród zbrojnego orszaku, kiedy wyjeżdżał—śledziła okiem dopóki zdaleka mogła dojrzeć pozłocisty hełm jego, a kiedy dłu- go nie wracał, stawała przy oknie, patrzyła na drogę i czekała... czekała codzień niespokojnie. Kiedy wracał, zdawało się jej, że wraz z nim wracają spokój i szczęście.

Dawniej więcej tęskniła do domu, teraz przy- zwyczaiła się do nowego mieszkania, ale tęskni- ła, kiedy król długo nie wracał, a wracającego witała radośnie na progu górniczy. Powoli ro- dziła się miłość w sercu dziewczyny, rosła i po- mimowoli przykuwała ją do serca króla. Wdzięcz- ną mu była za jego dobroć i łaskawość. Na świe-

cie czuła się osieroconą, oprócz ciotki Braczy- sławowej już nikogo nie miała; tem chętniej więc zbliżała się do serca króla, w którym dźwięczała łagodna struna miłości. Kochała go za miłość dla niej.

Odszukawszy raz w swoim sercu to uczucie, nie potrzebowała go skrywać, ani przed sobą, ani przed ludźmi. Kochała i za zbrodnią nie pocz- tywała sobie tego; kochała z całym oddaniem się, jak tylko kochać można. Co dnia czuła to coraz więcej, że miłość dla króla stawała się dla niej potrzebą. Tak powoli z początku odkładała z dnia na dzień wyjazd z Krasnego Dworu do opuszczo- nego ojcowskiego teremu, potem ów wyjazd sta- wał się trudniejszym do skutecznienia, aż na- reszcie stał się niemożliwym: nie było już po co tęsknić do porzuconego świata, bo znalazła no- wy świat, nieznaną jej dotychczas: w sercu kró- lewskim; rozstanie się z tym światem byłoby nadto bolesnym, aby go porzucić chciała.

W kilka tygodni po zamieszkaniu na Krasnym Dworze Luda przypomniała sobie swoją dobrą i starą mamkę Dobromirę i zatęskniła do niej.

Stara mamka siedziała sama w pustym dworze Kościaczką. Na wieść o tem, że wojewodę na Książ Dwór zabrano, a Mściława przysłał po niego Sławoszę, znanego Kijowianom oprawcę i zbroja, otroki i grydnie rozbiegli się z przestra- chu. Wszystko jeszcze trzymało się jakotako, póki w domu siedziała Luda. Aż oto i Ludy nie stało: wyszła i zginęła bez wieści.

W górniczy Ludy siedziała tylko Dobromira, przędła kądziel dzień cały, wyglądała przez okienko: czy znajomej twarzy nie ujrzy, i rozmy- ślała o tem, co się stało. Na środku podwórza leżał pies wierny, skręcony w kablak i za każdym szmerem na ulicy podnosił łeb, nasłuchiwał: czy znajomego głosu nie posłysz, a przeko- nawszy się, że głosy obce jego uchu, chował mię- dzy łapy głowę i znowu nieruchomy leżał. We dwoje z Dobromirą strzegli oni Kościaczkowego dworu i mienia.

Na dwie, może na trzy godziny przed zacho- dem słońca ktoś nieśmiało poruszył zasuwę od furki. Dobromira nie słyszała tego poruszenia, ale posłyszał pies: podniósł łeb i pomrukiwać zaczął. Po chwile przestał, jakby się namyślał, nastroszywszy uszy i łeb zwróciwszy ku fur- cie; nareszcie powstał, wyciągnął się, otrząsnął kudły i do bramy powolnym krokiem ruszył. Zbliżywszy się do furtki, wetknął nos w szczeli- nę, powąchał i zaczął zlekka ogonem ruszać, na znak zadowolenia. Niepokój go jakiś opanował. Odbiegał od furtki, stawał pośrodku dziedzińca i ku górniczy, gdzie siedziała Dobromira spoglą- dał, jakby umyślnie pragnął uwagę jej zwrócić; później znowu do furtki wracał, znowu wachał i kręcił ogonem. Wreszcie skomeleć zaczął.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOWOCZEŚNI KRZYŻOWCY.

Wędrowiec po tegorocznym Paryzkim Salonie, znużony oglądaniem szablonowych i pospolitych utworów pędzla i dłuta, nagle przystawał wobec wspaniałego portretu kościelnego dostojnika, któ- rego postać sędziwa i brodata tycyanowskie przy- pominała typy. W tym wizerunku mistrzowski pędzel Bonnata, nie tylko zewnętrzne uchwycił podobieństwo, ale potrafił zarazem i duchem martwy ożywić obraz. Znać tu męża dawnego pokroju, o niezłomnym harcie i sile woli, zdolne- go znikczemniałe pokolenia do wielkich zapalić rzeczy i zatwardziałe na humanitarne względy serce Europy wstrząsnąć potęgą słowa, w któ- rem drga echo przepowiadanych ongi przez Pio- tra Pastelnika Krucyat. Mężem tym jest kardynał Lavigerie.

Upoważniony przez Namiestnika Chrystuso- wego, rozpoczął on bieżącego lata iście aposto-

ską wędrowkę, obiegając z kolei jedną stolicę po drugiej, aby nieświadomemu stosunków wnętrza Afryki społeczeństwu chrześcijańskiemu przed- stawić straszny obraz spustoszenia, jakiemu stopniowo ulega bogata podzwrotnikowa kraina, niedawno przez pionierów wiedzy i wiary otworzo- na przed zdumionem, a nieraz i chciwem, Euro- pęczyka okiem i krokiem. Jedną z ostatnich konferencji dostojnego purpurata, świeżo wygło- szona w Londynie, nawoływała kobiety chrze- ścijańskie do ulitowania się nad losem czarnych swych siostrzyc: „Od was to po części zależy, aby powstrzymać rozlew krwi niewinnej, a pod- niecić słuszne oburzenie cywilizowanego świata. Jeżeli zaś Bóg użyje której z was pisarskiego talentu, poświęćcie takowy najsprawiedliwszej sprawie, wspomnijcie, iż książka napisana przez jedną z was: *Chata wuja Tom*, położyła w części kres niewolnictwu na Ziemi Amerykańskiej.“

Odezwa główna zobowiązanie kładzie na pisma gromadzące odgłosy działalności kobiecej. Podaj- jąc tedy ucho gotowe na zaklęcia wymownego pa- sterza murzyńskiej trzody, za nim i niemal wła- snemi jego słowy, odtworzymy straszliwy obraz niewolnictwa grożącego ostateczną zagładą cha- mowemu szczepowi.

Po wyswobodzeniu Czarnych w Stanach Zje- dnoczonych, po świeżem zniesieniu niewolnictwa w Brazylii, można było uważać, iż z wyjątkiem Kuby, zniknął nareszcie z powierzchni ziemi dziki barbarzyństwo zabytek, i że handel ludz- kim towarem chyba już nigdzie na świecie nie istnieje. Tymczasem kardynał Lavigerie w tej właśnie chwili głębokie nam przynosi rozczaro- wanie. Nie dziwi on się zresztą ogólnej nieświa- domości. Wszakże sam dłuższe lata był paster- rzem w dziedziectwie Ś-go Augustyna, nie domy- ślając się wcale krwawych dramatów, rozgrywa- jących się opodal w łonie „Czarnego kontynen- tu.“ Wiadomość o nich przyniesli mu dopiero Misyonarze Algierscy, w narzeczu ludowym znani pod mianem „Białych Ojców“ którzy mniej więcej przed laty dziesięciu spróbowali posunąć ewangeliczne zagony, aż po okolice przez Living- stone'a i innych wielkich podróżników odkryte.

Poznanie owych stref wewnętrznych istną by- ły niespodzianką. Dotychczas sądzono zawsze o Afryce po jej wybrzeżach, istotnie niezdro- wych, nieraz nawet dla Europejczyka zabójczych, a klimatycznymi warunkami odstrasających o- sadnictwo synów Japeta. Pewne ustopy Hero- dota i Diodora i t. p., zdawały się jednak odnosić do mniej wydziedziczonych części wnętrza ucho- dzącego u nowożytnych za jedno wielkie pustko- wie wypalone słońcem i zawiane piaskiem Si- mumów. Tymczasem rzeczywistość przeszła naj- świetniejsze autorów greckich domysły, czy po- dania. Pokazało się, iż właściwe łono Środko- wej Afryki składa się z dwu płaskowzgórzy, z których jedno wznosi się na trzy tysiące stóp nad poziom morza, drugie jeszcze wyżej sięga. Klimat tam corocznie bywa odświeżany deszcza- mi z chmur, pędzących od jednego Oceanu do drugiego, istne zaś wewnętrzne morza, olbrzy- mie jeziora, uzupełniają nawodnienie krainy, w której bujność zwrotnikowa dochodzi już do ostatecznego wyrazu. Przekonano się niebawem, iż w jednym roku nie trudno czworakie zebrać tam żniwo, że najmniejsza rolna praca stokrotne przynosi plony. Położenie górzyste i obfite na- wodnienie składają się tedy na wytworzenie ideal- nego klimatu. Upał nigdy nie przechodzi 32 stopni Cels., w nocy zaś bywa zazwyczaj 17 do 18 stopni.

Z tych-to płaskowzgórzy początek swój biorą cztery wodne szlaki Afryki: Nil, Niger, Kongo i Zambezi, oraz zasilające niezliczone przyplawy owych rzek głównych. Wyjątkowe upośażenie tych stref szczęśliwych, liczba czterech rzek od- powiadająca opisom Genezy, bujność i żyzność gleby niepotrzebującej niemal użnojenia ludz- kiego, zatajone w ziemi skarby kruszczowe,— wszystko to, razem wzięte, naprowadziło bujniej- sze wyobraźnię na domysł, iż chyba Raj ziemski znajdować się musiał nad wybrzeżami jezior Tan- ganyka i Victoria Nyanza.

Nie było też doniedawna ludniejszej w Afryce osady, a mimo przyrodzonego u murzyńskich ple-



mion barbarzyństwa, względny pokój panował wśród sąsiadujących z sobą pokoleń i królików. Niestety! pomyślność, która zdumiewała pierwszych podróżników i misjonarzy, docierających do jezior wewnętrznych, wkrótce w straszny sposób miała być zakłóconą. Wieść o bogactwie wnętrza Afryki rychło rozbudziła żądnięcie chuci metysów arabsko-afrykańskich, zamieszkałych na wybrzeżach Zanzibaru i Egiptu. Niedarmo miejscowe przysłowie opiewa, iż Bóg stworzył Białych i Czarnych, a szatan Metysów. Mieszkańcy ci są wcieleniem najdzikszego barbarzyństwa i żeźwierżenia. Zrazu obfitość kości słoniowej zwróciła ich kroki ku wewnętrznym dzielnicom Afryki. Rzeczywiście produkt ten tak był zbeceniony w ojczyźnie słoni, iż nie rzadko używano kłów tych olbrzymich gruboskórców do ogradzania osad lub budowania szałasów. Ale, nabywszy od krajowców zapasy kości słoniowej, należało ją do wybrzeży dostawić, człowiek zaś w Afryce jedynym jest bydlęciem pociągowym. To dało początek niewolnictwu. Przemocą zabezpieczano sobie poniewolnych tragarzy, którzy, brzemię swe złożywszy w oznaczonym porcie, natychmiast sprzedawani zostawali gotowym już nabywcom. Jednocześnie Islamizm ukradkiem zdobywał sobie znaczną przewagę wśród afrykańskich plemion, idące zaś wraz z Zakonem Proroka, wielożeństwo, wschodnia apatya i pogarda dla „psów niewiernych“, niebawem spotęgowały do rozmiarów niebywalej klęski straszny handel niewolnikami.

Statystyka podana przez podróżników, a stwierdzona przez kardynała Lavigerie, zapewnia, iż rokrocznie około 500.000 niewolników bywa zaprowadzanych na głównych targowiskach Afryki. Że zaś na każdego uprowadzonego jeńca liczyć można czterech do pięciu, a nawet i więcej, zabitych, przy krwawych na ludzką zwierzynę łowach, słabo tedy licząc, można powiedzieć, że rokrocznie ginie około dwóch milionów Murzynów, co w pół wieku zapowiada całkowite Afryki wyludnienie. A wraz z tem zamkną się zaledwie utworzone przed wyjałowioną Europą nowe drogi handlowe; bujna zwrotnikowa roślinność pochłonie wytknięte szlaki, zbraknie przewodników i robotników krajowych, aby te skarby wyzyskać; podróżnik nie zastanie żadnego schroniska, nie znajdzie żywności w wyłącznym odtąd królestwie dzikiego zwierza. Oto co w niespełna lat pięćdziesiąt nieodwołalnie zagraża Afryce, jeżeli Europa nie pośpieszy z pomocą i radą, których zebrze dziś orędownik opiekun biednych Murzynów.

Poznał on ich niedołą za pośrednictwem swych synów, owych „Białych Ojców“, którzy już dziś w strefie jezior posiadają cztery wikaryaty apostołskie i jedenaście stacyi misyonarskich. Było ich zrazu tylko trzech współpracowników wielkiego biskupa; jest ich obecnie trzystu, a już stu padło na wyłomie, wskutek trudów apostołskich, niedostatku i zmian klimatycznych, z tych zaś jedenastu męczeńską uszczknęto palmę. Serca tych poświęconych mężów krwawią się i krają na widok karawan niewolniczych, pędzonych codziennie w jedną lub drugą stronę. Razporaz uda im się wprowadzić jaką ofiarę wyrwać i wykupić z otchłani, ale szczerze śledzki zacieśniają ich działalność, a zkadynąd słuszną budzi się obawa, aby handlarzy nie utwierdzić jeszcze w ich ohydnych rzemiośle nadzieją dwustronnego zysku: od nabywających człowieka-towar i od wykupujących człowieka-istotę z niewoli. Innych, radykalniejszych należałoby się chwycić środków, chcąc złemu stanowczą położyć tamę, o czem dowiemy się poniżej z programatu postawionego przez kardynała Lavigerie. Wprzód jednak musimy jeszcze przypomnieć niektóre szczegóły strasznej plagi, która dziesiątkuje obecnie ludność afrykańską.

Dwa różne szlaki niewolnicze znaczą obecnie bielejącymi kośćmi pobitych głównych drogi ludzkiego handlu. Jeden zmierza ku morzu, rozchodząc się naprzemian ku wschodnim lub zachodnim wybrzeżom; drugi dąży przez puszcę do Tombuktu, najznacniejszego targowiska środkowej Afryki. Straszny bywa to pochód, w jakkolwiek zdąża stronę; od strasznych też roz-

poczyna się gwałtów. Mysliwi, pragnący ludzką upolować zwierzynę, zarządzają nocne napaści na uspięne osady. Nagle blask pożogi budzi spokojnych mieszkańców; wybiegają oni z szałasów, aby się spotkać z dzikimi siepaczami, którzy godzą na ich wolność lub życie. Zrazu przeważnie uprowadzano mężczyzn, dopóki potrzeba tragarzy była główną podniętą handlu niewolnikiem.

Przekonano się dziś, iż towar to niewdzięczny, kosztowny i do utrzymania trudny. Mąż dorosły nie da się ująć bez oporu, wymaga obfitszego wyżywienia, a nawet, uprowadzony i zaprzędany, technie wiecznie jedną myślą ucieczki i powrotu w rodzinne strony. Tymczasem kobiety i dzieci daleko łatwiej pochwyć się dadzą, a następnie, złamane jarzmem niewoli, już w niej pozostają bez oporu. Kobiet też przedewszystkiem potrzeba dla haremów możnowładzców Afryki lub wyznawców proroka na arabskich jej wybrzeżach; dzieci zaś, zaprawione wcześniej do niewolniczej posługi, najlepszym okazują się nabytkiem.

(Dokończenie nastąpi).

## W ANTYLLACH.

[Przez

Quatrelles

przekład M. K.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Paseo.

O godzinie piątej jedziemy do Mariana. Dwóch strażników z policji ziemskiej, ubranych biało, stoi konno przy wjeździe na Paseo. Przeznaczeniem ich pilnować porządku na jeździe ekwipaży.

Wokoło Paseo ciągnie się nieskończony łańcuch wszelkiego rodzaju odkrytych powozów, jak *lando*, *quitrinos*, *victoria*, *dog-cart* i t. p. Każdy powóz czyni wrażenie cennego koszyka pełnego kwiatów, wstążek, niewieścich postaci, przejrzystych muslinów i delikatnych koronek. Nic piękniejszego, nad te białe-różowe, ciała muskane promieniami słońca. Boże! jakże te kobiety tu są prawdziwymi kobietami! A wszystko się też składa, aby je jak najponętniej uczynić: słońce, powietrze, kwiaty, błękit nieba, — wszystko to są jak najkorzystniejsi dla nich sprzymierzeńcy. Trzeba widzieć na Paseo ten łańcuch powozów, ciągnący się przy blasku zachodzącego słońca, aby zrozumieć, jakim uroczem zjawiskiem może być kobieta.

Stwórca, w swej niezmiernie mądrości rzecz każdą dobrze obmyślając, stwarzając Kreolkę antylską, nie udzielił jej zamiłowania do pracy umysłowej: inaczej, zawojowałyby świat cały. Wszyscy mężczyźni porzucaliby pewno ojczyznę swoje i tłoczyli się w Cieśninie Opatrzności, aby cud ten podziwiać. Kubanka zdolną jest zrozumieć — (broń mię, Boże, zaprzeczać) — kwestye odnoszące się do sztuki, literatury, rozwoju umysłowego... lecz czy-to z pogardy, lenistwa, czy przez obojętność, rzadko chce dotknąć tej strawy. Rozmowa jej bywa zawsze prostą i wielce monotonną. Będzie rozprawiła o ostatnich modach, przychodzących ze Stanów Zjednoczonych lub z Europy, aczkolwiek i w tem nawet niezdoła do jakiegokolwiek inicjatywy; będzie się dowiadywała o zamierzonych małżeństwach, słuchając miejskich ploteczek, wysławiając zalety pomidorów i tureckiego pieprzu, bitej śmietanki, ciastek bananowych; nie pomyli się co do dnia i godziny ciągnięcia loteryi... Lecz, jeżeli tylko będzie mogła, ucieknie od gości do kuchni lub kredensu rozmawiać o słodkich przyprawach z kucharką lub pokojówką — a nad to wszystko jeszcze przełoży chę-

tnie długie milczenie. Leniwa, spłótszy maleńkie jak u dziecka rączki nad głową i założywszy jedną na drugą drobne nóżki, potrafi się kołysać całe godziny. I nie przysięgnę, o nie!... czy myśli o czemkolwiek.

Uważałem, iż pomiędzy tamtejszemi paniami należy do dobrego tonu mówić z lekceważeniem o Francuzach; co jednak nie przeszkadza wcale przyjmować ich ze szczególną uprzejmością. Nie spotkałem, naprzykład, ani jednej Kubanki, która by nie powiedziała, iż Paryż jest jedynym możliwym na świecie miastem do mieszkania; skoro przeciw zapytałem której: czy, zebrawszy razem wszystkie sentymenta, czułaby się szczęśliwą zupełnie, zamieszkując w Paryżu zaludnionym wyłącznie przez Kreolów? Każda w miejsce odpowiedzi uśmiechała się tylko.

Jakkolwiek bądź jest, szczęśliwym nazwać się może, kto widział przy zachodzącym słońcu przesuwaną się uroczym wieniec kobiet hawańskich z kwiatami we włosach i perłach na obnażonych szyjach i ramionach.

Na chodnikach Paseo piesi przechodnie witają się hałaśliwie; podanie ręki poprzedzają zawsze wzajemne wykrzykniki. Dwóch przyjaciół widziało się tegosamego dnia rano, a słysząc ich witających się wieczorem, możnaby myśleć, iż spotkali się niespodzianie co najmniej po dziesięciu latach rozstania.

— Ay!... Pepe!... como esta?

Po środku ulicy jeźdźcy paradują, obsypując przejeżdżające kobiety kurzem, po bokach zaś szosy przebiegają szybko na małych krajowych konikach ulani ze straży wiejskiej, zwani, nie wiem dlaczego, przez mieszkańców miasta: *zollerzami papierowymi*.

Turyści w opisach swych mieszają częstokroć nazwy powozów *volant* i *quitrino* — pierwszy z nich już nie bywa używanym. Przechowuje się zaledwie w niektórych domach, jako dawny zabytek; przez czas miesięcznego mego pobytu, zaledwie go dwa lub trzy razy widziałem, i to bardzo być może, iż spotkałem dwa razy jeden i tensam. *Volant* podobnym jest do lektyki otwartej zupełnie z przodu, a osadzonej na osi.

*Quitrino* jest to lekki kabryolecik z ruchomą budą, niskim siedzeniem, zawieszony pomiędzy osiami a zaprzęgiem. Duże, delikatne koła znajdują się za powozem. Z powodu niezmiernie długich giętkich drażków czyli hołobli, powóz, chociażby szedł po najgorszej drodze, nie ulega wstrząśnieniom, ruch jego raczej tak jest łagodnym, jak kołysanie się hamaka. Buda i pudło bywają suto przyozdobione, a już conajmniej, nabitte srebrnemi gwoździ. *Quitrino* z tyłu zamyka skórzana franka, zawsze prawie podniesiona; druga takasama, złożona w trójkąt i częścią szerszą przytwierdzona do fartucha a końcem spiczastym do budy, chroni od słońca i ciekawych spojrzeń. Owe giętka, długie drażki, zrobione są z drzewa *majagua*, które znane jest i w Angli pod nazwą *lance-wood*. Woźnicami są zawsze Murzyni, strój takiego *calesero*, jak uprząż konia, godne jest opisu. Zaczynam tedy od koni, to jest zaprzęgu w parę.

Nie zaprzęgają tam koni tak, jak w Europie, po dwóch stronach dyszla — gdy jeden ciągnie hołoble, drugi, na którym siedzi *calesero*, idzie na przyprzążce jakgdyby do zmiany. Zaprzęgi są ciężkie, przeładowane srebrnemi ozdobami, siodła wysokie, aby jeździec nie zginał kolan, jak najsuciej przystrojone.

Konie mają grzywę krótką, jak u rumaków na płaskorzeźbie Partenonu; jeden tylko dłuższy kosmyk, pozostawiony na karku dla ułatwienia jeźdźcowi wsiadania na siodło; ogon nieszczęśliwych zwierząt spleciony i przytwierdzony do tylnego łąku siodła, co je pozbawia jedynej obrony od tnących je niemilosierne skrzydlatych potworów.

Strój *calesero* z dobrego domu ma jeden niezmienny typ: kapelusz z cienkiej słomy z szerokimi skrzydłami, spencer biały z ponsowemi wypustkami lub ponsowy ze złotym galonem, spodnie białe i długie, prawie do bioder sięgające, — nakoniec: buty z ostrogami.



## IX.

## Chińczyk.

Przy wielkiej ilości Chińczyków, znajdujących się na Kubie, muszę tu w kilku słowach objaśnić czytelnikowi ich położenie.

Handel Białymi jest zabronionym,—rzecz wiadoma; Chińczyk przeciw to—co innego.

— „Chińczyk, panie, jest robotnikiem wolnym, wolnym zupełnie, słyszysz pan?—krzyżeć ci będzie Kreol.—Przybył na Kubę za dobrowolnie zawartym kontraktem.“ Biedny Chińczyk!

Czy przypominasz sobie, czytelniku, rolę dawnych werbowników, których dowódcy wojsk utrzymywali po większych miastach dla zaciągania ludzi do szeregów? Otrzymywali oni, nie zależnie od stałej pensji, pewną kwotę za każdego nowozaciężnego. Wszelkie też środki były dla nich dobre, byle tylko doprowadziły do celu. To sprzymierzeńcem ich była wódka, a częstowany po wytrzeźwieniu na mocy bezwiednie zawartej umowy, był prawie rekrutem; to, korzystając z ufności nieumiejących czytać i pisać biedaków, kazali im podpisywać umowy, niemające najmniejszego związku z warunkami pierwotnie ustnie ułożonemi. Taksamo i tutaj werbownicy przebiegają Indye i Chiny, i ludząc fałszywemi obietnicami, skłaniają nieszczęśliwych do wyjazdu z ojczyzny. „Przyszłość ich będzie zapewniona; praca łatwą i lekką — mówią — ot, błogie życie wieźdź będą w kraju, gdzie nigdy niema zimy. Inni wszystko za nich ułożą; umowę zawierają przeciwie tylko czasową, są wolni, — wolni zupełnie...“

Biedny Chińczyk! Jakież go spotyka rozczarowanie!

Galernik skazany na pewien przeciąg czasu stokroć swobodniejszy jest od niego. Skoro stanie się zadość sprawiedliwości, zwróca mu wolność. Murzyn najgodniejszy pożałowania, stokroć od niego szczęśliwszy. Biedny Chińczyk! Wolny niby, najpiękniejsze przecież lata życia spędza pod biczem, trzy czwarte czasu skutu łańcuchami.

Nakoniec dobiega termin umowy. Cud, jeżeli biedaku nie umarł: teraz podźwigniesz się, będziesz żył jak zechcesz, porzucisz kraj ten niegodziwy, by wrócić do ojczyzny pośród swoich, gdzie im opowiesz przecierpiane męczarnie, gdzie będą cię żałować, dogadzać ci dla powetowania przeszłości. Skończył się czas prób ciężkich dla ciebie. Zazdrościłeś losu zwierzętom! dziś człowiek wolny i szczęśliwy będzie twym równym.

Aha! właśnie też! Biedny Chińczyk!

Kraj, który go przyjął niewolnikiem, wolnemu odmawia schronienia. Musi jechać, jechać jak najprędzej, opłacić podróż. Lecz Wielki Boże! czemu ją opłaci? Cały zarobek nie wystarczy na to. Więc sprzedają go, jak niegdyś dłużników w Rzymie. Pięć, sześć, lub nawet ośm lat niewoli zaledwo pokrywa koszta przejazdu do ojczyzny.

Czy to już wszystko? Nie. Po skończeniu się tej umowy prawo zmusza go do sprzedania się jeszcze na lat cztery.

Dodajcie do tego pogardę, jaką we wszystkich wzbudza, zarówno w Czarnych jak w Białych— a tego idiotycznego lecz ogólnego uprzedzenia nie nie zdoła wykorzenić—wówczas wyobrazicie sobie, czem jest życie Chińczyka na Antyllach. Jest to juczne zwierzę, nic więcej.

Biedny Chińczyk! Nikt go nigdy nie pożaluje.

Czarny ma towarzyszkę, która go pieści i pociesza. Stopa Chinki nie powstała nigdy na zie-

mi kubańskiej. Kobieta jakiegokolwiek białej kory i rasy, najnudniejsza nawet, ma niepoko nany wstręt do Chińczyka.

Biedny Chińczyk!

## X.

## Żebracy. Kościoły. Nabożeństwa.

Dziś rano byłem na mszy w kościele Ś-go Filipa.

Dzwonnicy od samego rana bili w dzwony z jadłą gorliwością, nieznaną w Europie, aczkolwiek dzwony w Hawanie ani w dzień, ani w nocy nie milkną całkowiec. Głos ich jest dziwny, drewniano-błaznany.

Ulice przyległe do kościoła zapchane ekwipażami w których się mieszczą rodziny pobożnych. Po wąskich chodnikach, przeciskając się około murów, przesuwają się kilka pań śpieszących na mszę—za każdą murzynkę lub mały mulat niesie składane krzesło i dywanik. W pobliżu Ś-go Filipa znajduje się stacya *quitrinos*; woźnice pod samemi prawie drzwiami obnawiają bliźnich. Przez przedsiónek, pełen żebraczków zaledwo się można przecisnąć. A jaki to żebraczki, o Boże! Wspomnienie ich jedynie przyprawia mnie o mdłości. Kto nie widział tych w lachmanach, starych ohydnych Murzynek, tak ohydnych, że do pokrewieństwa z nimi, żaden goryl nie chciałby się przyznać, ten nie wie, co to jest prawdziwa brzydota. Istoty te nie wzbudzają ani szacunku, ani litości. Shakespeare umieściłby je na stepie przed lady Macbeth i duchem Banka; Goethe wyprawiłby je naprzeciwko Fausta i Mefistofelesa na Brocken. Szara wełna, pokrywająca to, co się nazywa ich głowami, wygląda niby płaty pleśni. Oczy przygasłe, suche, podpuchnięte. Usta grube, pomarszczone, rozchylając się, odsłaniają jeden lub dwa białe zęby tem więcej tą białością rażące, iż wyglądają jak z czarnych czeluści. Uszy duże, odstające, przyozdobione mosiężnemi kołami. Na szyi i obnażonych rękach mnóstwo sznurków szklanych paciorek, gdyż te kupy żywych lachmanów do ostatniego tchnienia zachowują w sercu zamięłowanie świecideł. Ich jasne muslinowe spódnice włożyły się chyba po wszystkich na świecie rynsztokach, z każdego zbierając część brudu, a najostatniejszy gałganiarz z przedmieścia nie podniósłby tych pantofli, jakie te żebraczki mają na nogach. Niektóre okręcają sobie głowy i ramiona chustkami niegdyś jedwabnemi; w rękach trzymają dwie cało-metrowe laski, na których się wspierają. Wokoło dłoni, wyciągającej się po jałmużnę, owinięty różaniec, lecz słów pacierza, jakie szepeją ich usta, nigdy żadna z nich jeszcze nie rozumiała.

Bóg dla nich,—to ta postać wykuta z kamienia, lub wyrzeźbiona z drzewa, przybita czterema gwoździami do dwóch desek na krzyż złożonych. Myśl ich nie sięgnęła nigdy dalej, niż wzrok; dla nich—poza widomym błękitem, próżnia tylko. Nikt ich nie uczył tych prawd pocieszających, jakie nam po sobie pozostawił Zbawiciel.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## MYŚLI.

— Romantyzm w literaturze był wzbijaniem się do ideału, tak jak naturalizm jest zestępowaniem

do zwierzęcości. Realizm, który pozytywnie się trzyma przy ziemi, powinien być uważnym, aby mimo woli i chęci nie stał się ścieżką wiodącą w tym kierunku.

— Jeżeli we wzniosłych uczuciach człowieka jest trzy czwarte szaleństwa, w mądrości jego może być tyleż pogardy dla świata.

— Omyłki ludzi wyższych polegają na tem, że sądzą rzeczy z wysokiego punktu widzenia. Naodwrot, umysł mierny i człowiek nizki widzi wszystko poziomem i przykłada do wszystkiego miarę, co najmniej, średnią.

— Łączyć myśl o powodzeniu naszym z wiedzą o radości tych, którzy nam są drodzy—jest to pić nektar z czary złotej.

— Można myśleć źle, nie czując tego, jeżeli zaślepi nas egoizm i chęć osiągnięcia pragnień swoich. Kaleczymy wtedy, zadajemy ciosy i rany, nie zważając na to. Myślimy tylko o sobie, o zadowoleniu własnem.

— Podejrzliwość jest złą cechą charakteru, bo człowiek mierzy najczęściej ludzi innych miarą własną. Ale łatwowierność bywa bardzo często ślamazarnością umysłu.

— Wyobraźnia ma najczęściej koloryt uczuć i pojęć naszych. Człowiek zepsuty nie umie stwarzać obrazów piękna czystego i naodwrot, istoty czyste nie marzą brudno. Ztąd sztuka i literatura odzwierciedla ludzi i epoki. Jest to wskazówka dla historyka.

— Dowodem małości człowieka jest to, jeżeli można kochać istoty małuczkie.

— Trzeba przeciwstawić książkom złym książki dobre, tak jak przeciw truciznom daje się odczynnik trucizn.

Barbey d'Aurevilly.

**Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** podaje do wiadomości, że w poczet członków rzeczywistych Towarzystwa zapisali się: ks. Nuzskiewicz St., ks. kan. Gajewski Winc., ks. Zagrzejewski Ant., ks. Grochowski Ant., ks. Narkiewicz Edward, ks. Jaksa Lucyan, ks. Drejer Zygm., ks. Dmochowski Aleks., ks. Kasprzykowski Ign., ks. Ciesielski Wład., ks. Dubissa-Kraczek Ant., hr. Czarnecki Antoni, hr. Starzyński Karol, hr. Starzyński Dominik, Dr Kossowski Cezary, Dr Opacki Juliusz, Hoffman Józef, Witkowski Tad, Michalewski Elig., Kürst Edw., Rappaport Fel., Zakrzewski Fel., Grossman Emanuel, Szemetyło Adam, Ferencowicz Artur, Cywiński Fr., Wohl Henr., Rzewuski Kazim., Jastrzębowski Ludomił, Hertz Henr., Tyszyński Kazim., Wellisch Wilh., Karwowski Aleks., Rosenbaum Leon, Wollenberg Maks., Kirsztot-Prawnicky Leon, Krzeczowski Otton, Sztolcman Wiktor, Kleszczyński Karol, Nagórny Stan., Barzykowski Józef, Kamiński Edw., Byszewski Włodz., Łada Adam, Buttowt-Andrzejkiewicz Leon, Gellert Edw., Kepke Fryd., Korngold Natan J., Kausik Jan, Libiszowski Józef, Szlim Heljodor, Gajewicz Leon, Filipski Karol, Ryszkiewicz Jan, Werner Stan., Gassowski Czesł., Giwartowski Henr., Leppert Jan, Ochocki Józef, Pułaski Kazim., Kleszczyński Aleks., Jankowski Hipolit.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie nowelli **Tyfon**.

**TREŚĆ.** Obywatelska praca Francuzek, przez Maryą Ilnicką. — Ze spuścizny olbrzyma (dalszy ciąg), przez Miriam'a — Modlitwa matki, poezya, przez Kruczyna. — Notatki pedagogiczne. — Na Krasnym Dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — Nowożytni krzyżowcy. — W Antyllach, podróże (dalszy ciąg), przez Quatrelles'a. — Myśli. — Ogłoszenie. — Dodatek obejmuje. Dokończenie nowelli **Tyfon**. — Przegląd mód — 19 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycyą stołu**.

Warszawa.—Druk i Litografija S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою—Варшава 24 Августа 1888 года.